

## Pierwsze Dni Powstania

Trzy dni przed rozpoczęciem Powstania przybyłem do prywatnego mieszkania na pierwszym piętrze przy ul. Oleandrów nr.1 i rogu ul. Marszałkowskiej. W mieszkaniu było już bardzo wiele osób, ale cisza była jak w pustce. Po mnie przyszło jeszcze parę osób. Było nas ponad 40-tu i pięć sanitariuszek. Większość z nas leżała albo siedziała na podłodze. Nikomu nie wolno było podchodzić do okien. Tylko wartownik obserwował z poza firanek Marszałkowską i wylot ul. Litewskiej strzeżony przy barierach przez Niemców. Tak spędziliśmy tam trzy dni wyczekując na rozkaz.

Wreszcie 1-go sierpnia 1944 roku późno po południu zostaliśmy poinformowani, że akcja rozpocznie się o godzinie 17-ej tego dnia. Zadaniem naszej grupy było opanować budynek byłego Ministerstwa Spraw Wojskowych na zapleczu al. Szucha. Broni mieliśmy bardzo mało. Nie wiem jak przydział się odbył, ale mnie przypadł pistolet i jeden granat podziemnej produkcji, który rozrywał się przy uderzeniu. Inni nawet tego nie mieli. Duch wszystkich był jednak bojowy. Zналиśmy się tylko po pseudonimach, z wyjątkiem bliskich kolegów. Niektórzy poznali się dopiero tutaj. Zorganizowani byliśmy w sekcje po sześciu ludzi. Ja byłem sekcyjnym 1 Sekcji, 1 Drużyny, 135 Plutonu w Zgrupowaniu "Ruczaj".

Wkrótce przed godziną 17-tą dowódca plutonu pseudonim "Bicz", Tadeusz Rackiewicz, wydał rozkaz zejścia na dół. Wypełniła się cała klatka schodowa powstańcami. Ja ze swoją sekcją wyszedłem na początku oddziału. Zatrzymaliśmy się przy frontowych drzwiach aż wszyscy się zgromadzili. Czekaliśmy na rozkaz wybiegu. W tym czasie jakaś pani weszła głównymi drzwiami. Wystraszyła się gdy nas zobaczyła. Uspokoiłem ją i powiedziałem, aby pocichu poszła do swojego mieszkania.

"Bicz" wyznaczył dwóch kolegów, aby przed naszym natarciem na główne wejście do budynku b. Ministerstwa, podbiegli do bramy żelaznego parkanu i do głównych drzwi i granatami rozwalili je. Staliśmy w napięciu przed drzwiami naszej kwatery. Jeszcze dziś widzę jak ci dwaj koledzy idą wzdłuż Marszałkowskiej i przechodzą na drugą stronę ulicy. Raptem zaczynają pędzić w kierunku bramy i drzwi. My też zaczynamy biec. W tym samym czasie wzdłuż Marszałkowskiej jadą dwie ciężarówki ze stojącymi na nich uzbrojonymi Niemcami. Pierwsza ciężarówka nas minęła, a druga przejeżdża nam przed oczyma i znajduje się ona między nami, a kolegami biegnącymi do bramy. Widzę zdziwienie Niemców, ale do nas nie strzelają. Ktoś z tyłu od nas strzela do Niemców, słyszę rozkaz aby nie strzelać - mamy bardzo mało amunicji. Biegniemy dalej. Dwaj koledzy rzucili granaty i dołączają do nas. Wpadamy w główne wejście, widać Niemców, niektórzy z karabinami inni uciekają. Biegnący koło mnie "Witold", Zdzisław Sliwiński, napotyka się na Niemca. Oba podnoszą karabiny i strzelają, "Witold" jest szybszy, trafia Niemca w piersi, a Niemiec rani go w nogę. Ja pędzę korytarzem w prawo, rzucam granat, który obijając się o sufit wybucha i robi straszny grzmot. Dzwoni mi w uszach. Inni koledzy rozbiegają się po korytarzach parteru i pierwszego piętra. Wpadamy z pokoju do pokoju. Znajdujemy dość dużo broni. Miałem szczęście znaleźć pistolet maszynowy z magazynkami, wreszcie czujemy się uzbrojeni. Niestety straty nasze są bardzo duże. Między innymi

dowódca plutonu, "Bicz", zostaje ranny w ramię w czasie natarcia. Wkrótce nasilenie akcji maleje. Opanowaliśmy budynek. Dowiaduje się od "Bicza", że inne oddziały miały atakować od strony Marszałkowskiej i od al. Szucha. Niestety żadnej działalności ani nie widzimy ani nie słyszymy. Zaczynają się godziny wyczekiwania. Znajdujemy sporo jedzenia, więc się pożywiamy, choć głód nam nie na myśli. Zajmujemy się naszymi rannymi kolegami jak możemy. Większość z nich leży na korytarzu, gdzie jest dużo bezpieczniej niż w pokojach. Niektórzy jednak leżą w pokojach od strony al. Szucha w środkowej części budynku. Pamiętam to, gdyż sam wczołgiwałem się do nich przez drzwi, aby uniknąć ostrzałów przez okna i przynosiłem im jedzenie. Słyszę jęk jeszcze dzisiaj - "Jak ja chciałbym żyć". Nie wiele jednak możemy im pomóc. Nie jesteśmy na coś podobnego przygotowani. Budujemy barykady przy wszystkich klatkach schodowych na pierwszym piętrze. Jest nas za mało, aby bronić cały budynek. Ja mam przydział bronienia klatki schodowej na prawym skrzydle. Niemcy wciąż jednak ostrzeliwują nas z obu stron. Od Marszałkowskiej z czołgów i karabinów maszynowych, a od strony al. Szucha z lżejszej broni. Stoję w korytarzu ze Zbigniewem Lejmanem, ps. "Darek", członkiem mojej sekcji, on frontem w kierunku al. Szucha, a ja przed nim, rozmawiamy. Ja go wciągnąłem do konspiracji. On jest wyższy ode mnie prawie o głowę. Przez okno pada strzał karabinowy parę centymetrów nad "Darka" głową. Robi wielką dziurę w ścianie. Mamy szczęście - nie trafił. Odsuwamy się, jesteśmy bardziej ostrożni. Wielu nie miało szczęścia. Tak bracia Karuk, Ryszard ps. "Ryszard" i Leopold ps. "Romek" zgineli pierwszego dnia. Gdy "Romek" dowiedział się, że "Ryszard" został zabity, stracił głowę i chciał się zemścić na Niemcach. Podszedł do okna, wystawiając się do połowy i z pistoletu maszynowego zaczął strzelać w kierunku Niemców. Został zabity jednym pociskiem w czoło.

Pierwszego dnia wkrótce po zajęciu budynku spotkałem dwie Polki, sprzątaczkę, które nasz napad tam zaskoczył. Były bardzo wystraszone, starałem się je uspokoić. Późniejszy ich los nie jest mi znany. W czasie pierwszej nocy koledzy przynieśli mi ciężki karabin maszynowy z taśmą amunicji. Karabin nie działał. Próbowałem go uruchomić, ale tylko udało mi się użyć go do pojedynczych strzałów. Przydał się jednak, gdyż później uciszyliśmy nim załogę karabinu maszynowego strzelającego do nas z okna budynku po przeciwnej stronie Marszałkowskiej. Tak spędzałem pierwszą noc przy barykadzie. Było nas chyba tylko trzech na pilnowanie tej barykady, więc o spaniu nie było mowy. Właściwie to nie spałem przez trzy dni i trzy noce.

Drugiego dnia dowódca plutonu, "Bicz", chciał dwóch ochotników, aby przedostali się do naszego wypadowego mieszkania na Oleandrów, gdzie pozostały nasze sanitariuszki, a potem abyśmy poszli do innych naszych oddziałów na ul. Nowowiejską koło pl. Zbawiciela. Zgłosiłem się. Mój kolega, Andrzej Wichlinski, "Wiesław", którego prosiłem, aby poszedł ze mną, wolał zostać. Zgłosił się jeden z niewielu zdrowych - pseudonimu nie pamiętam, a nazwiska nie znałem. Powiedział mi w czasie naszej wyprawy, że był studentem, zdaje się u Wawelberga.

W nocy z 2-go na 3-go sierpnia przeczołgaliśmy się przez główne wyjście budynku w kierunku Marszałkowskiej, a potem szybko przebiegliśmy na drugą stronę ulicy. Była wielka cisza. Pełno szkła

było na chodnikach, stąpanie na które mogło zdradzić nasze kroki, więc musieliśmy bardzo uważać. Szybko dotarliśmy do miejsca naszego zakwaterowania. Otworzyła nam drzwi jakaś wystraszona kobieta i powiedziała, że tu nikogo nie ma i nie wie dokąd poszły sanitariuszki. Zdenerwowana prosiła aby szybko odejść. Tyłami przedostaliśmy się na ul. Nowowiejską za kościołem Sw. Zbawiciela. Zapukaliśmy do bramy, którą nam zaraz otworzono. Była tam duża grupa powstańców, którzy w akcji udziału jeszcze nie brali. Patrzyli na nas jak na zjawiska, byliśmy brudni i niewyspani. Przedstawiłem im naszą sytuację. Zgłosiło się pigci. Mieli trochę broni, ale powiedziałem, że to nie ważne gdyż mamy sporo broni i amunicji tylko mało ludzi. Również chętnie zgłaszały się sanitariuszki, ale powiedziałem, że wezmę tylko trzy. Miałem jakieś złe przeczucie, że stamtąd cali nie wyjdziemy. Wróciliśmy prawie tą samą drogą. Akowcy byli poddenerwowani, chcieli szybkim krokiem iść nie zważając co się wokoło dzieje. Musiałem ich kilkakrotnie uspakajać. Sanitariuszki były bardzo spokojne. Dotarliśmy spowrotem bez żadnych przygód. "Bicz" porozsyłał nowoprzybyłych na barykady, a sanitariuszki zaczęły opiekować się rannymi. Ja z kolegą poszliśmy na swoje stanowiska. Resztę nocy spędziłem przy barykadzie słaniając się ze zmęczenia.

Trzeciego dnia Niemcy nacierają bardzo intensywnie. Znajdują się na parterze, jest ich dużo. Widzę przez barykadę jak przy głównej klatce schodowej stoją i beztrosko rozmawiają. - Czego są tacy pewni? Ktoś z góry rzuca w nich niemiecki granat, ale pewnie w rozterce nie pociąga całkowicie sznurka i granat nie wybucha. Wszyscy żyjący kierują swoją broń w kierunku parteru, gdzie Niemców jest coraz więcej. Zaczynają się tragedie - jedna sanitariuszka ciągnie nosze z ciężko rannym w kierunku Niemców, a druga w przeciwnym kierunku. Niemcy wchodzą coraz wyżej. Ja biegnę w kierunku bocznej klatki schodowej, od strony pl. Zbawiciela gdzie jest większe natarcie. Niemiec wdarł się za naszą barykadę na pierwszym piętrze, wystawił pistolet maszynowy, a sam schowany za ścianę, strzela do nas na ślepo. Widzę pociski lecące w moim kierunku - co za przeżycie! Chowam się we wnękę. Niemiec opróżnia magazyn amunicji i ucieka. Ja pozostaję tam i pilnuję barykady. Wkrótce przychodzi "Wiesiek" i zostaje ze mną. Również ukazuje się kolega, z którym poprzedniej nocy poszedłem po pomoc. Zbliża się popołudnie, sytuacja pogarsza się bardzo.

Niemcy podpalają budynek. Dym coraz większy. Dostajemy rozkaz ewakuacji, którego osobiście nie słyszę. Dowiaduję się o tym dopiero od uciekających kolegów. Schodzimy poza barykadę na parter w kierunku wyjścia. Paru wyskakuje przez drzwi. Niemcy czekają z karabinem maszynowym i sieką. Widząc to krzyczę do innych, aby nie wyskakowali. Nie wiele poskutkowało. Napięcie straszne. Jednym z tych co wyskoczył to kolega mojej nocnej wyprawy, nerwowo nie wytrzymał. Ja z "Wieskiem" wróciliśmy na pierwsze piętro. Słyszałem, że większość kolegów wyskakiwała przez okna od strony Marszałkowskiej. Dym coraz większy. Wiatr wieje od strony al. Szucha więc pokoje od tamtej strony są znośne do oddychania. Stoję na korytarzu we wnęce przy barykadzie. "Wiesiek" na przeciwko mnie po drugiej stronie korytarza. Jest chwilowo cisza. Raptem pada pojedynczy strzał. Rykoszet od podłogi rani mnie w kolano poniżej jąbłka. Upadam w kałużę wody spowodowaną przez popekane rury.

Wydaje mi się, że ciało rozdwa się - jedno stoi - drugie upada. Mówię do "Wieska" aby mnie dobił - on to lekceważy. Myślałem, że to koniec ze mną i mimowoli spojrziałem na zegarek, jest godzina 16:30. Po szoku przychodzę trochę do siebie. Bólu nie czuję, ale jest mi gorąco w nogę. Wciągamy się do pierwszego pokoju przy barykadzie. "Wiesiek" wchodzi za mną. Wiatr wieje przez wybite okno. Dymu prawie się nie czuje. Po chwili słychać kroki przed pokojem, to "Stach", Kazik Chmaj. To on mnie wciągnął do konspiracji w marcu 1943 roku. Zobaczył, że jestem ranny. Poszedł i wrócił z dużym ręcznikiem, którym okręcili mi kolano. Dziura w kolanie była tak duża, że można było włożyć palec bez dotykania kości. Bólu jednak nie czułem. Powiedzieliśmy "Stachowi", że chcemy uciekać przez okno i przydała by się drabina. "Stach" i "Wiesiek" poszli i rzeczywiście wkrótce wrócili z drabiną. Nie wiem gdzie ją znaleźli. Było dość spokojnie, jak by nic się nie działo, tylko od czasu do czasu słychać było wybuchające pociski na palącej się w pobliżu nas barykadzie. Namawiałem "Stacha", aby został z nami to razem będziemy uciekać. On jednak był mocno zdenerwowany i powiedział, że idzie. Poszedł. Już go więcej nigdy nie widziałem. "Wiesiek" chciał wystawić drabinę, zbliżył się do okna i w tej chwili został zraniony pojedynczym strzałem w lewą rękę powyżej łokcia. Szczęśliwie rana była bardzo lekka, tak że miał w rękę pełną władzę. Zaczął się denerwować, niecierpliwie i chciał jaknajszybciej uciekać. Przekonywałem go, że teraz nie możemy bo jest widno i mogą nas zobaczyć. Zdecydowałem, że będziemy czekać aż się zrobi ciemno. Ale czas się włókł, wydawało się, że nigdy się nie ściemni. Od korytarza słyszemy głośne głosy Niemców. "Wiesiek" przytyka drzwi. Pomaga mi położyć się nogami w kierunku drzwi, abym mógł widzieć ewentualnie wchodzących do pokoju Niemców. Marzę twarz swoją krwią i udaję trupa, a przymrużonymi oczami obserwuje uchylone drzwi. Pistolet maszynowy mam w prawym ręku ukryty pod małym kredensem. Gdy zechcą we mnie strzelać, jestem przygotowany. "Wiesiek" z drugim pistoletem maszynowym, schowany za drugą szafą również czuwa. Niemcy głośno gadając przechodzą koło naszego pokoju. Prześli, nie zajżeli. Pewnie nie myśleli, że ktoś mógł się jeszcze ukrywać w tak długo palącym się budynku. Czekamy niecierpliwie na zmrok. Wreszcie jest dość ciemno. "Wiesiek" wystawia drabinę przez okno. Mamy szczęście, że pod oknem jest drewniana szopa pokryta papą. "Wiesiek" spuszcza drabinę. Drabina trochę krótka, ale dosięga tuż poniżej okna. "Wiesiek" przystawia stół do okna, na który pomaga mi się wdrapać. Staramy się to robić szybko, ale z przerwami aby zobaczyć co będzie. Jest cicho. Wreszcie decydujemy się - wyrzucam się głową w dół przez okno, łapię rękami szczeble w połowie drabiny i spadam na szopę. Ból w kolanie szalony. "Wiesiek" szybko schodzi po drabinie. W ten sam sposób dostajemy się z szopy na dół, na bruk. Tym razem ból w kolanie jeszcze większy. Zaczynamy czołgać się od szopy w kierunku klombów, które są wzdłuż parkanu od budynku aż po bramę przy pl. Zbawiciela. Nagle szopa wybucha - zapala się od palącego się budynku. Płomień olbrzymi. Widno prawie jak w dzień. Leżymy bez ruchu. Czas leci - godziny upływają. Powoli ogień maleje. Znowu robi się ciemno. Zaczynamy się czołgać. Zbliżyliśmy się do kolegów zabitych przed bocznym wejściem do budynku. Nie wiem ilu tu poległo. Leżę koło jednego z naszych zabitych. Nie usiłuję go

rozpoznać, aby się nie wydać. Każdy ruch robimy bardzo, bardzo wolno. Niedaleko słychać szeptanie Niemców przy karabinie maszynowym. Na co tu jeszcze czekają? - prawie wszystko spalone. Odległość między nami, a bramą przy pl.Zbawiciela około 100 metrów, ale wydaje się, że to przestworze. Czy zdążymy przed świtem? Usuwamy każdą łydyżkę na naszej drodze bardzo ostrożnie, aby się nie zdradzić. Ja czołgam się pierwszy, a "Wiesiek" za mną. Przy czołganiu się do przodu nie czuje bólu w kolanie, ale jak muszę się cofnąć, aby Niemcy nie zauważyli mnie na ścieżce, to ból szalony - pogruchtane kości zderzają się. Wreszcie po całonocnym czołganiu się docieramy do bramy. Jest godzina piąta rano, zaczyna robić się widno. Brama jest zamknięta, ale przesuwamy się pod nią. Mówię do "Wieśka", aby biegł pierwszy, a ja się potem przeczołgam przez Marszałkowska. On mnie nie zostawia. Wciska się przede mną, bierze mnie na plecy i biegnie przez Marszałkowską w kierunku kościoła Sw.Zbawiciela. Nikt do nas nie strzela. Zostawia mnie we wnęce kościoła, a sam przebiega przez Nowowiejską, do tej samej bramy, do której poszedłem drugiej nocy. Dali mu krzeszko. Leci z nim spowrotem do mnie. Wdrapuję się na krzesło i on pędem ciągnie krzesło ze mną do bramy. Jest już całkiem widno. Nikt nie strzela. Dotarliśmy do swoich.

Chcę dodać, że gdy wychodziłem z domu na Powstanie mój ojciec powiedział mi "Nie trać głowy w akcji". To była najlepsza rada jaką mogłem dostać i napewno pomogła mi przeżyć te pierwsze dni Powstania.

Bogusław Ciach, "Jan"  
Kalifornia, kwiecień 1993r.